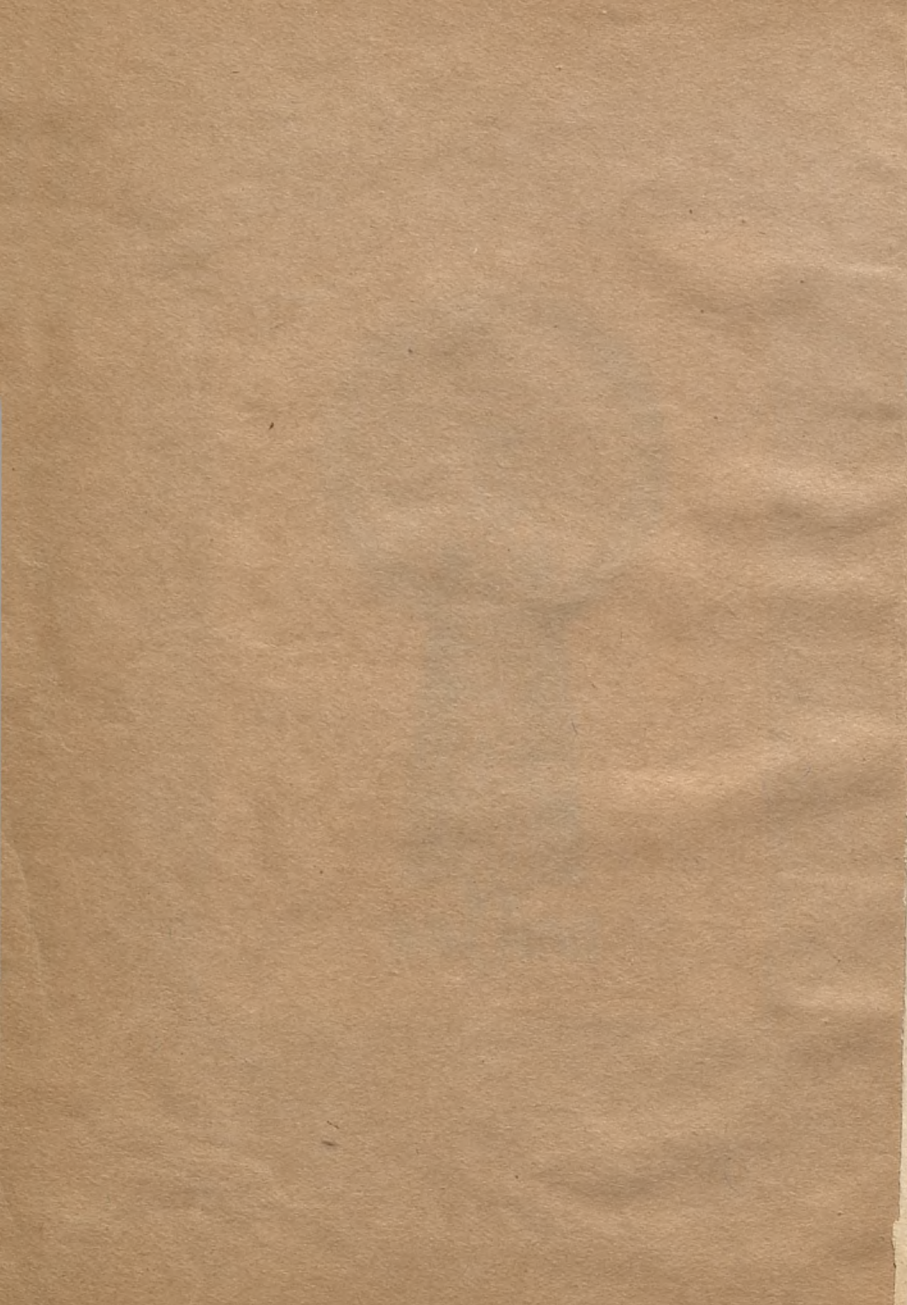


20447

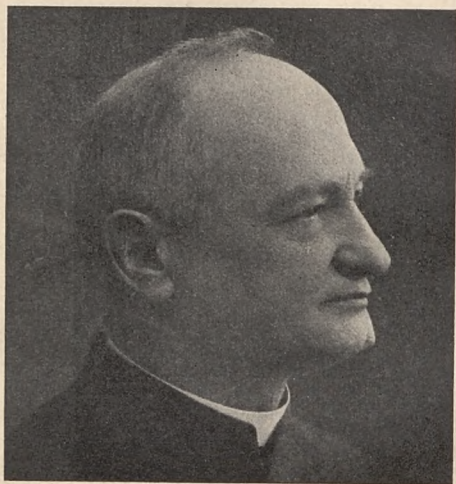
1

g

60



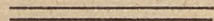
WSPOMNIENIA Z TATR.



KS. WALENTY GADOWSKI.

WSPOMNIENIA Z TATR

(GAWĘDA BIWAKOWA).



KRAKÓW 1934.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI KRAKOWSKIEJ
UL. ŚW. KRZYŻA L. 13.

BOCHNIANA



92
62d
Wsp

20447 czyt.

CZYTELNIA

OSOBNIE ODBICIE Z „GŁOSU NARODU“.



10052879

CZCIONKAMI DRUKARNI „GŁOSU NARODU“ W KRAKOWIE.

Osobliwszy urok mają noclegi w głębi Tatr. Po spożyciu wieczerzy siadają wycieczkowcy przy wotrze, tj. przy ognisku i gawędzą o różnych przeżyciach w Tatrach. Poświata księżycowa posrebrza okolice i łagodzi zarysy ostrych grani. Zdalea dolatują odgłosy pasterzy, a z dolin mrugają szeregi świateł na stacjach kolejowych. Czujemy się przeniesieni w krainę czarów i baśni.

Gawęda niniejsza nie sady się na dokładność chronologiczną, ani na dokładny opis dróg turystycznych lub widoków tarzańskich, lecz chce zachęcić zarówno młodych, jak i podeszłych wiekiem¹⁾ do wycieczek górskich, a tu i ówdzie wskazać, jak się takie wycieczki urządzać powinno.

Pierwszy raz zwiedziłem Zakopane i doliny przyległe w r. 1881, jako kleryk początkujący, chory na nieżyt płuc. O dłuższych wycieczkach nie mogło być mowy. Zakopane było jeszcze mało zaludnione, a z niektórych „kuźnic“ dolatywał dźwięk młotów, obrabiających tatrzańską rudę żelazną. W dolinie Kościeliskiej jedyna altana była przy źródle Lodowem²⁾. Uchodząc przed nagłą burzą, schroniłem się do niej. Środkowy stół obsiedli akademicy i studenci, którym przewodził ks. Nowiński, katecheta gimn. z Krakowa.

¹⁾ Mam obecnie 74 lat, obchodzę sekundycję kapłańskie, a jeszcze chodzę na szczyty, chociaż już bez plecaka.

²⁾ Później przeniesiono ją ku krzyżowi Pola, a niedaleko źródła Lodowego zbudowano restaurację. Drugą altanę dodano przy Pisanej. Z czasem gorliwi ochroniarze Tatr usunęli wszystkie schrony i obecnie niema się gdzie ukryć przed burzą. Wskutek nawoływań zanosi się jednak na budowę restauracji w połowie doliny.

Było tam gwarno i wesoło. Zaproszony, przysiadłem się do nich. Za chwilę wszedł do altany młody człowiek w czarnym ubraniu salonowem i (nie zdejmując cylindra) rozglądał się za miejscem. Ks. Nowiński kazał go zaprosić. Usiadł przy nas, oczywiście zdjawszy cylinder. Pokazało się, że gość był Niemcem i nie rozumiał ani słowa po polsku. Ks. Nowiński rozpoczął z nim rozmowę, przeplatając ją gęsto polskimi apstrofami dosadnymi na temat owego cylindra. Było to tak zabawne, że cała altana wybuchała śmiechem homeryckim. Wreszcie Niemiec zapytał, z czego się wszyscy śmieją. Ks. Nowiński rzekł na to, że Polacy podczas słoty mają tak zw. **Galgenhumor** i właśnie dają mu wyraz śmiechem.

Owczesny pobyt na Podhalu i kuracja maślankowa zrestaurowały moje zdrowie. Kiedyś miałem za to odwdziżyć się Tatrom urządzeniem Orlej Perci.

Coroczne wyjazdy wakacyjne do Zakopanego rozpocząłem w r. 1890. Ze współmieszkającymi księżmi, pod wodzą kanoników: X. dra J. Bernackiego i X. Fr. Leśniaka, urządzaliśmy często przechadzki w góry, a niekiedy dłuższe wycieczki. Raz obchodziłem ze starszym księdzem Czarny Staw pod Kościelcem od wschodu i zauważyłem, że ścieżka opuszcza brzeg stawu, a wznosi się na skałę. „Dlaczego tak?“ — zapytałem towarzysza. „Bo tak zrobili“ — odpowiedział. „To nie racja“, — pomyślałem i rzekłem: „Proszę iść za ścieżką, a ja pójdę poniżej“. Zrazu szedłem wygodnie. Wnet jednak murawa zmieniła się w gzyms skalny, coraz węższy. Na narożniku przyładka gzyms urwał się całkiem. Co czynić? Nie byłem w stanie obrócić się i wrócić tą samą drogą, bo nieuchronnie wpadłbym do stawu, głębokiego w tem miejscu, a wstyd mię było wołać o pomoc. Na szczęście w górze nad sobą ujrzałem krzew kosodrzewiny. Wzniósłszy się na palcach, z biedą dosięgnąłem konaru i po nim wydźwignąłem się na skałę. Powiedziałem sobie:

„**Nie opuszczaj nigdy pewnej ścieżki dla niepewnego skrótu**“.

Ta lekcja pogładowa przydała mi się nieraz w późniejszych wycieczkach.

W tym wypadku kosodrzewina okazała się środkiem zbawczym, naogół jednak trzeba przestrzec przed przekraczaniem zwartych pól kosodrzewu. Można to zrobić jedynie w zasięgu wysokogórskim, gdzie kosodrzew jest karłowaty i cienki, w niższych jednak okolicach ma on konary grube i elastyczne. Stanąwszy obu stopami na konarze, nagnie się go ku ziemi. Gdy jednak podniesie się nogę, aby zrobić krok dalszy, konar podnosi się szybko w górę i człowiek przewraca się na pościel puszystą. Komu coś przytem z kieszeni wypadnie, ten już owego przedmiotu nie znajdzie. Trzeba obu stopami naraz skoczyć na konar następny i t. d., ale przytem łatwo się poślizgnąć i położyć się na kosówce. Ostatecznie przejście na upartego da się sforsować, ale turysta straci wiele czasu, namęczy się i tak ręce, jak ubranie, powala silnie żywicą. Po-radniej jest przeto obejść kosówkę.

Innym razem z gronem księży byliśmy znowu przy Czarnym Stawie pod Kościelcem. Nadszedł pan, nieco szpakowaty, przedstawił się, że jest **Władysławem, synem Adama Mickiewicza** i poprosił, aby mu wskazać miejsce odosobnione, gdzie mógłby się wykąpać. Na uwagę, że woda jest bardzo zimna, że się tu nikt nie kąpie, odpowiedział, że jest zahartowany i lubi zimną kąpiel. Usłużyłem mu chętnie i odtąd przez jakie 20 sezonów letnich kąpałem się — oczywiście krótko — w każdym niemal stawie tatrzańskim i wielu potokach. Odświeżało to wybornie wśród marszu, ale zczasem wywołało reumatyzm; wypadło zatem pożegnać się z kąpielami górskimi.

Przy tej sposobności ostrzegam pływaków, by nie przepływali stawów tatrzańskich, bo w wielu z nich biją silne źródła i wytwarzają niespodziewane prądy wody zimnej. Kto na taki prąd natrafi, doznaje łatwo kuczów, a wówczas może się to skończyć katastrofą.

Na wycieczkach stosowaliśmy zrazu system starodawny. Szedł zatem góral-przewodnik i tyłu górali-

tragarzy, ilu było gości. Kosztowało to niewiele¹⁾, a było wygodnem, bo każdy gość miał opiekuna w góralu, który mu dopomagał w miejscach mniej bezpiecznych lub uciążliwych. Przewodnik czuwał nad tem, by iść powoli, a przy wchodzeniu na strome wzgórza co chwilę „d u c h n ą ć“, t. j. odpocząć na jedną lub dwie minuty stojąco, celem odsapnięcia, a raczej dla uregulowania bicia serca. Na miejscach równych i lekko pochyłych szło się krokiem szerokim, ulubionym przez górali, przy wchodzeniu zaś na górę i przy schodzeniu wdół posługiwaliśmy się krokami drobnymi, by nie natężyć zbytnio serca, idąc w górę, i nie zrywać nóg w kolanach przy schodzeniu.

Po takim chodzeniu można i dziś rozpoznać doświadczonego taternika.

Dozwala ono delektować się swobodnie widokami, chroni od znużenia i wyrabia siły tak dalece, iż można chodzić na wycieczki codziennie całemi miesiącami. Wycięgi w Tatrach są całkiem niehigijeniczne. Przy wchodzeniu na strome zbocza, trzeba nawet wstrzymać się od rozmów, mieć usta zamknięte i oddechać tylko nosem, by jama ustna nie wysychała i nie wzmaęgało się pragnienie. A należy jak najdłużej wstrzymywać się od picia wód górskich, tem bardziej od spożywania śniegu! Z picia powstają poty, z czego wynika pragnienie coraz silniejsze. Pije się więc coraz częściej i przez pot traci się sił coraz więcej; wkońcu ustaje się w drodze. Swoją drogą zimna woda może wywołać przewlekłe katarę żołądkowe. Na wypadek silnego

¹⁾ Przewodnikowi, zależnie od jego klasy, płaciło się po 3 do 4 zł. r. dziennie i wikt. Za każdy wysoki szczyt dopłacało mu się 1 zł. r. (2 zł. pol.). Tragarz dostawał 1 zł. r. i wikt. Przewodnicy niemieccy z południowej strony Tatr żądali po 7 zł. r. od szczytu, ale liczyło się w to dojście do szczytu i zejście do Szmeksu. Ponieważ taki Garluch, Łomnica, Durny, Lodowy, oddalone są o dzień drogi od Zakopanego, przeto przewodnik niemiecki wypadł taniej. Aby to wyrównać, Polacy zwiedzali zazwyczaj nie jeden, ale kilka szczytów, blisko siebie położonych, oczywiście każdy w innym dniu. Jedynie Rysy i Wysoką zwiedzało się w jednym dniu.

pragnienia dobrze mieć w manierce nieco herbaty ciepłej z cytryną, a bez cukru. W miarę ubywania herbaty dopełnia się manierkę wodą.

Ciekawa jest psychika górali. Przepadają oni za tańcem. Niosąc worek ciężko naładowany tak, iż jego frombije (opaski) wrzynały się niemal w piersi, okazywali nieraz znużenie nadzwyczajne. Wystarcza jednak, by na popasie juhas zagrał zbójnickiego na gęśliczkach, a górale, nawet niemłodzi, zapominają o zmęczeniu i skaczą, aż miło patrzeć. Są rozmowni i lubią rozmownych; są ambitni, ale też są cheiwi na grosz i uparci. Oto obrazek.

Na hali Smytniej w dolinie Kościeliskiej gazdował długo stary Michniak z Cichego. Wstępowaliśmy doń na wyborne kwaśne mleko. Znałem nieco stosunki w Miętustwie i w Cichem i rozgadałem się z nim na ten temat. „To wyście naski“, — rzekł wreszcie. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, jeden z księży rzucił uwagę żartem: „Pytanie, czy się do was przyzna?“ „O, są tacy, są“, — rzekł gazda — „co są nasey, a do nas się nie przyznają“. Wyjaśniliśmy mu sprawę, ale widzieliśmy, że obstawał przy swoim zdaniu. Wygadał się jednak, że ma syna na teologii w Krakowie. Mówię zatem: „Nie znam waszego syna, ale może on coś słyszał o mnie. Zapytajcież go, to się dowiecie prawdy“. „Żebyście wiedzieli, że się spytam“, — rzekł Michniak.

Po roku odwiedziliśmy go znowu. „Czy pytaście się syna o mnie?“ „No, dyć-jek się pytał“. „I cóż wam odpowiedział?“ „E, bo wy sie ta wydacie?“ Własnemu synowi zatem nie uwierzył i aż do śmierci twierdził, że pochodzę z Cichego. A jednak górale są sympatyczniejsi, bo więcej otwarci, niż lud wiejski z nizin; nie zaznali bowiem pańszczyzny. Są też sprytniejsi od wieśniaków z dolin i nieraz nie żyd górala, ale góral żyda wywiedzie w pole. Przewodnik-góral lub woźnica wyśledzi rychło, jakie gość ma upodobania i umie trafiać w gust gościa, aby otrzymać hojniejsze poczęsne. Dla ceprów (ludzi z nizin) nie mają

naogół wielkiego szacunku. Niestety, poczęstunki ze strony gości i częste zarobki pobudziły wielu górali do pijaństwa.

Powtarzaliśmy co rok partje łatwe, jak Giewont, Czerwone Wierchy, Krzyżne, Zawrat, Spiglasową Perę, Krywań. Chodziliśmy także na Świnnicę, Rysy, Wysoką, Garluch, Łomnicę, Lodowego i t. p. Było tam niewiele łańcuchów i klamer. Na Garluch wychodziło się z doliny Wielickiej żlebem koło próby, gdzie były łańcuchy wolno wiszące. Niestety żlebem ściekało zawsze coś wody. Przy wchodzeniu na górę woda dostawała się do rękawów, przy schodzeniu zgóry lała się na kark i przeciekała na grzbiet. Nocowało się w schroniskach, a ponieważ nie było ich wiele, odbywało się długie marsze, aż późno w noc. Często zwiedzaliśmy Bialskie Groty i Orawskie Zamki.

Po co było chodzić na szczyty? Zrazu stawiałem to pytanie, ale zmieniłem sąd, gdy raz i drugi zaznałem rozkoszy wspaniałego widoku ze szczytu. Przytem przechodziło się po drodze bądź mroczne partje leśiste, bądź hale sielankowe, ożywione odgłosami turlików owczych, bądź dzikie kotły skalne, w których człowiek wydaje się mrówką nieznaczną. Ta zmiana nastrojów oddziaływa dziwnie kojąco na nerwy i na umysł. Nie przestraszały mnie trudności terenu, bo mówiłem sobie: „Gdy natrafię na miejsce zbyt trudne, to zawrócę“. Na szczęście nie było to potrzebnem, bo górale dopomagali.

Raz wybrało się nas czterech na zwiedzenie doliny Wagu i ruin uroczych zamków w Trenczynie, Sulowie, Budatinie, Hriczo, Streczno, Likawce i Ljetawie. Zwiedziliśmy także malowniczy wąwóz Varinki w paśmie Fatra. Z powrotem dwóch odjechało koleją, a ja z towarzyszem pchałem się w Tatry. Liczyliśmy na to, że w Habówce orawskiej lub w Zubercu dostaniemy przewodnika, ale doznaliśmy zawodu, bo właśnie leśniczy Kocjan urządził polowanie i do nagonki wezwał wszystkich mężczyzn. Wreszcie stary Janosz zdecydował się podnieść nam nasze plecaki. Niestety musie-

liśmy przeczekać burzę w dolinie Zuberskiej i dopiero o zmroku dotarliśmy do stóp Rohaczów. Z powodu swych turni granitowych uchodziły Rohacze na Orawie za niedostępne. Nie było tam nawet wolarni, więc urządziliśmy sobie kolebę pod skałą wysoko i w niej przemocowaliśmy. Nazajutrz oglądaliśmy wschód słońca ze szczytu Rohacza Płacziwego. Przeszedłszy grań Rohaczów, zeszliśmy na dolinę Chochołowską i do Zakopanego. Ale nocleg odbił się niefortunnie na naszej garderobie. Zboczyliśmy więc do lasu na Gubałówce, przespaliśmy tam kilka godzin i dopiero wieczorem dotarliśmy do naszego mieszkania.

Pociągały mię ku sobie szczyty wysokie i partje, mało zwiedzane, ale często nie mogłem dostać przewodników w Zakopanem. Mówili otwarcie, że wolą jechać z Warszawiakami do doliny Kościeliskiej, zabawić się dobrze i zarobić 10 rubli, aniżeli drapać się na szczyty za 5 zł. r. Udałem się zatem po dwakroć w Alpy i nauczyłem się tam obchodzić z rakami, czekaniem i liną. Odbyłem też wycieczkę do Nienasytca i na Krym, by zwiedzić miejsca, wslawione przez Sienkiewicza w trylogji i przez Mickiewicza w sonetach. Wreszcie zmuszony byłem przerzucić się na południową stronę Tatr i posługiwać się przewodnikami niemieckimi, najczęściej Jakóbem Horvayem, Suranowskim i Breuerem. Czasami i tu niełatwo było zdobyć przewodnika, więc zdecydowałem się na wycieczki samotne. Słyszałem, że przedemną urządził takie wycieczki prof. Ciaglewicz. Zrazu powtarzałem partje mi znane, a potem coraz częściej zapuszczałem się w tereny nieziedzane. Kosztowało to bardzo mało, a dawało wiele satysfakcji i dozwalało poznać Tatry gruntownie. Gdy pogoda służyła, schodziłem tylko na niedzielę do najbliższego kościoła, zaopatrywałem się w świeży prowiant i wracałem w Tatry. Oczywiście trzeba było samemu dźwigać ciężki plecak, ale nieraz korzystało się z pomocy juhasów. Za paczkę „habryki“ (tytoniu do fajki) juhas dźwigał worek chętnie aż na grań przyległą, a stamtąd łatwo już było

znieść go do doliny sąsiedniej¹⁾. W szalaszach można było uzupełniać prowiant, a z rozmów z juhasi dowiadywałem się nazw ludowych różnych turni i legend miejscowych²⁾. Przez trzy sezony takich wędrówek samotnych poznałem Tatry lepiej niż przez dziesięć sezonów zwyczajnych, ale nieraz tęskniłem za towarzystwem człowieka inteligentnego. Do porzucenia tej metody zwiedzania pobudził mnie następujący wypadek.

Schodząc z Lodowego ku 5-ciu Stawom, ujrzałem o jakie 100 kroków w prawo kilku znajomych przewodników niemieckich, oglądających coś na ziemi. Na ich wezwanie podszedłem ku nim. W odparzelisku między turnią a wiecznym śniegiem znaleźli

turystę - Niemca nieżywego.

Nie był skaleczony, ani nawet zadraśnięty i plecak jego był również nieuszkodzony, więc widocznie nie spadł z turni, lecz chciał odpocząć po zmęczeniu, zasnął i zamarzł. Zapiski jego wskazywały, że **leżał tam przez siedm lat**, ale z powodu zimna zwłoki były niezepsute. Gdyby ktokolwiek drugi był z nim, to nie doszłoby do nieszczęścia, zwłaszcza że niedaleko widriało schronisko Teryego. „Niechże ci to będzie przestrogą“, powiedziałem sobie. „Nużbyś zepsuł nogę w okolicy, gdzie ludzie się nie pojawiają! Czyż nie musiałbyś zginąć z głodu?“ Odtąd szukałem na wybiezki zawsze przynajmniej jednego towarzysza. Wyjątek stanowiły szlaki, często zwiedzane przez gości.

1) Dalej juhasi nie chcą iść, aby nie opuszczać terytorjum, gdzie leżą ich pastwiska.

2) Raz tylko, na Koperszadach, juhasi poszczuli na mnie olbrzymiego owczarka. Zatrzymałem się na ścieżce i domagałem się, by odwołali psa. Śmiali się z tego. Trzeba było obronić się samemu, więc uderzyć psa tak, by go odeszła ochota do walki. Owczarek, dobiegłszy do mnie, podniósł się na tylne łapy. Wówczas gwoździem na końcu laski trafiłem go w nozdrza i zakrwawiłem. Pies zawył z bólu i uszedł w stronę szalasu. Juhasi zaczęli się odgrażać, ale wezwanie, by poszli ze mną do Kesmarku, do sądu, uspokoiło ich doraźnie. Pozatem doznawałem wszędzie życzliwości.

Raz wyszedłem sam z M. Oka na Rysy. Spotkałem tam gromadkę Bawarów i dwóch akademików z Budapesztu. Wdałem się z nimi w pogawędkę i zeszedliśmy razem do Stawu Popradzkiego na obiad. Przy stole jeden z akademików robi uwagę: „Już teraz M. Oka przejdzie w nasze ręce. Zaprowadzimy tam europejskie stosunki“. (Właśnie sąd polubowny rozstrzygał sprawę państwowej przynależności M. Oka). Pomyślałem sobie, że ani ja, ani on, nic tu nie zważymy, więc niema racji się sprzeczać — i zagadałem o czym innym. Za chwilę jednak mój medyk wraca ponownie do tego tematu i zapytuje, co ja o tem sędzę. Odpowiedziałem, że nam Polakom bardzo zależy na posiadaniu M. Oka. „Przecież to tylko 600 morgów kamieni“ rzekł medyk.

„Dla was to proste kamienie, a dla nas resztką Ojczyzny polskiej. Jesteśmy w położeniu człowieka, którego ograbiono z wszystkiego, a nakoniec chcą mu nawet zabrać bieliznę. Czyż nie będzie bronił jej do ostatniego? Bardzo ubolewam, że dla wzbogacenia obcokrajowca (Prusaka Hohenlohego) wszczęliście ten spór. Dotąd Węgrzy cieszyli się u nas wielką sympatją. Świadczą o tem nietylko liczni ochotnicy polscy w r. 1848, ale i pieśń burszowska:

„Węgier, Polak, dwa bratanki.
I do korda — i do szklanki.“

(Przerwali mi okrzykiem: Brawo! Eljen!).

„Teraz może się to całkiem zmienić. Niema jeszcze u nas agitacji przeciw Węgom; czekamy na orzeczenie sądu. Wiem już jednak o dwóch stowarzyszeniach, których członkowie dali sobie słowo, że nie będą sprowadzali wina od Węgrów“.

„Toby było barbarzyństwo“, zawołał medyk.

„Jakie barbarzyństwo? Czyż za własne pieniądze nie wolno mi kupować tam, gdzie chcę?“

„Ależ my chętnie zrezygnujemy z M. Oka! Zatrzymajcie je sobie, a bądźmy nadal przyjaciółmi“.

„Najchętniej“, odpowiedziałem. I podaliśmy sobie dłonie.

Gdy medyk odszedł na chwilę, zapytałem jego towarzysza, czemu on tak nagle sąd swój zmienił. Odpowiedział: „Jest synem właściciela winnicy“.

Niebawem medyk ów ukończył chlubnie studia, ożenił się z córką właściciela Westerowa i urządził to uzdrowisko na skalę europejską. Był to dr. Michał Guhr († 1933), gorący odtąd przyjaciel Polaków. Na jego zaproszenie gościłem raz u niego z 12 uczniami. Zażądał od osoby tylko po 20 groszy dziennie, czyli tyle, ile musiał zapłacić za pranie pościeli. Odtąd omijałem rozmyślnie Westerów, bo nie miałem sposobności do zrewanżowania się, a nie chciałem wyzyskiwać przyjaźni. Dopiero w sierpniu r. 1918, nie mogąc z kilku towarzyszami znaleźć noclegu w Kolbachu, ani w Szmek-sach, bo wszystko zajęli oficerowie-inwalidzi i magnaterja węgierska, rad nierad już po 9-tej wieczór zgłosiłem się w Westerowie. Portjer oświadczył, że niema miejsca. Dałem mu swój bilet, aby zaniósł właścicielowi uzdrowiska. Za chwilę przybiegł dr. Guhr, powitał nas serdecznie i zapewnił, że miejsce znaleźć się musi. Jakoż usunął kelnerki na strych, opróżnił jedną łazienkę, zainstalował nas, ugościł i zaprowiantował, co w czasie wojennym wiele znaczyło. A co chwilę przypominał naszą rozmowę na Rysach i przy Popradzkim Stawie. Cześć Jego pamięci!¹⁾

Zwiedzając Baranie Rogi, przeszedłem z Horvayem z doliny 5-ciu Stawów węgierskich do doliny stawów Kesmarskich. Wówczas była to nowość. W dolinie Dzikiej bawił mię Horvay opowiadaniem, że pewien mieszkaniec Kesmarku znalazł dokument, podający, w którym miejscu od strony Durnego są zakopane skarby zbójnickie. „Gdyby to była prawda“, dodawał, to „ów człowiek miałby się dobrze, a tymczasem on aż do śmierci klepał biedę“. Mimoto Horvay zatarzymywał się przed każdym załomem w ścianach Durnego, mówiąc: „A może to właśnie w tem miej-

¹⁾ Czesi nazwali Westerów Tatrzańską Polanką.

scu? Walka jego krytycyzmu z chciwością wyglądała arecyzabawnie²⁾.

W Matlarach w restauracji zastaliśmy prof. Rotha z Iglawy, ówczesnego prezesa węgierskiego „Karpathenverein“. Porozmawiawszy z Horvayem, zbliżył się do mnie i wyraził życzenie, abym ową turę opisał po niemiecku do ich rocznika. Zgodziłem się, a w zamian poprosiłem, aby mi w dyrekcji dóbr księcia Hohenlohego wyrobił pozwolenie jednorazowego zwiedzenia terytorjum Tatr zamkniętych. „To nie będzie trudno“, powiedział. Dopiero w marcu, na pisemne nalegania, posłałem ów artykuł i przypomniałem daną obietnicę. W czerwcu otrzymałem od Rotha list z wyjaśnieniem, że dyrekcja nie chciała wydać takiego pozwolenia dla Polaka, ale wydała je dla Rotha i dla jego towarzyszków. Załączył mi owo pozwolenie i zapewnił, że mogę śmiało zeń korzystać, a kontroli oświadczyć, że prof. Roth ma przeszkodę. Na tej podstawie zwiedziłem w owym sezonie wszystkie terytorja zamknięte.

W ciągu 40 lat włóczęgi po Tatrach dwa tylko sezony letnie były całkiem wolne od deszczów. Upał wysuszył mchy i trawy tak, że wystarczyło rzucić niedogaszoną zapalną, a powstawał pożar. Wypaliły się wtenczas znaczne płaty kosodrzewiny i spore przestrzenie lasów. Dymy z lasów, palących się pod Krywanem, przedostawały się przez grań Tatr do Zakopanego.

W pierwszym z owych sezonów miałem wyborowego towarzysza w osobie ks. W. Okulickiego. Zwinny, silny, a wytrzymały, nie cofał się przed żadną trudnością i doszedł do przekonania, że niema takiej ściany w Tatrach, którejby nie można zdobyć. Rozpoczęliśmy

²⁾ Niebawem przy Baraniej przełęczy i na grobli dolnej wkuto długie łańcuchy. Szlak ten zwiedzają dość często, bo z obu stron ma wspaniałe doliny i stawy, a daje okazję do łatwego wyjścia na zwornikowy szczyt Baranich Rogów. Jest tam jednak obfitość śniegów.

wycieczkę od Babiej Góry, na którą wyszliśmy w nocy, aby delektować się z niej wschodem słońca. Podobnie urządziliśmy się na Wielkim Choczcu, wychodząc nań z Jasienowy, a schodząc do Rużomberku. Potem zwiedzaliśmy kolejno szczyty tatrzańskie, posuwając się od zachodu ku wschodowi i wyszukując sobie nieraz nowe wyjścia i zejścia. Z grani Krywania np. udało się nam zejść nad Staw Ważecki, mniej więcej w połowie jego długości, chociaż gładkie ściany w połowie zejścia były dosyć trudne. Nosiliśmy z sobą oficerski namiot rozbierany i rzadko schodziliśmy na nocleg do schronisk. Wycieczka trwała przez półtora miesiąca.

Przez kilka dni towarzyszyło nam trzech akademików polskich. Brak „floty“ zniewolił ich wreszcie do powrotu. W drodze w Podspadach zanocowali w gospodzie, gdzie od tego dopiero wypadku dodano wygodkę. Jeden z akademików odszedł w bok, a nie zauważył, że widać go było z balkonu leśniczówki. Sfukany przez leśniczego F., wrócił do gospody i położył się do łóżka. Za chwilę weszli do gospody: leśniczy i gajowy z bronią i dwóch żandarmów. „Który z panów dopuścił się obrazy przyzwoitości publicznej?“ zapytał leśniczy. Poznając zaś leżącego w łóżku, zawołał: „To ten! Aresztować go!“ — „Co chcecie z nim zrobić?“ zapytali koledzy. — „Pójdzie do Kesmarku, do sądu i zapłaci karę“. — „Przecież on chory“. — „To choroba udana! Aresztować go!“ Wówczas jeden z kolegów, kończący właśnie medycynę, zwrócił się do kierownika żandarmów i rzekł: „Jestem lekarzem i stwierdzam, że ten pan jest obecnie chory. Jeżeli mu się pogorszy wskutek aresztowania, pociągnę pana do odpowiedzialności“. Zdetonowało to żandarma i mimo nalegań leśniczego nie zdecydował się aresztować winnego natychmiast.

Co się jednak odwlekło, to nie uciekło. Pod strażą gajowego i żandarma przespali akademicy noc ową, a rano — nie chcąc opuszczać kolegi — poszli z nim pieszo, pod strażą, w stronę Kesmarku. We wsi Žďazrze zastawili zegarki i wynajęli podwoję. W Kesmarku

zapłacili 5 zł. kary i dopiero wolno im było wrócić do Zakopanego¹⁾.

W Tatrach bieżącą wieści dziwnie szybko. Na trzeci dzień potem dowiedzieliśmy się o zajściu. Szykanowanie ludzi, Bogu ducha winnych, oburzyło nas do żywego. Jakby się zrewanżować? Zbliżało się właśnie sierpniowe polowanie na kozice, które Hohenlohe urządzał na wielką skalę, z nagonką. Tuż przed polowaniem wyjść na szczyt Szerokiej Jaworzyńskiej i zostawić tam bilet z odpowiednim napisem, uznaliśmy za rewanz godny taterników, a nie czyniący szkody nikomu. Byłem tam już raz, gdy miałem wyrobione pozwolenie i stwierdziłem, że widok z tego szczytu jest piękniejszy, niż z któregokolwiek innego w Tatrach, bo Szeroka leży w pośrodku między Lodowym, Staroleśną, Garłuchem, a Wysoką, a jest nieco niższą od Lodowej przełęczy²⁾. Kozice były tam całe stada, więc strzeżono pilnie tego terytorjum. Pod Wysoką było schronisko strzelców tyrolskich, a z willi Hohenlohego, zwaną kasztelem prynea, widać było szczyt jak na dłoni. Krążyły nadto patrole strzelców. Trzeba było mieć dobrych przewodników. Na szczęście do hotelu Kolbach, naszej chwilowej sadyby, przybyło dwóch Polaków z Litwy z Jędrzejem Wałą i drugim przewodnikiem. Opowiedzieliśmy wszystko owym turystom i namówiliśmy ich do wycieczki na Szeroką.

Wczasn rano wyszliśmy w stronę przełęczy Lodowej. Wała, zły, że musi odbywać marsz tak nużący, nie chciał rozmawiać i niechętnie pomrukiwał coś pod nosem. Wiedziałem, że lubi koniak. Na przełęczy Lo-

¹⁾ Z Podspadów do gospody w Żdźzarze jest mila drogi, a stąd do Kesmarku trzy mile.

²⁾ Garłuch i Łomnica są z boku Tatr, a nadto z nich i z Wysokiej spogląda się na czubki gór w sąsiedztwie, co jest mniej malownicze. Szeroka Jaworzyńska zaś ma położenie centralne i nie jest ani za wysoka, ani za niska (2220 m.). Szczególnie imponują z niej potężne turnie Lodowego od wschodu, a Ganku, Wysokiej i Młynarza od południowego zachodu. Wychodzenie na Szeroką zwykłą drogą jest całkiem łatwe, ale długie (5 godzin) i nudne.

dowej poczęstowałem go i zapytałem, czemu taki kwaśny. „A czy ja tu potrzebny?” odpowiedział. „To wszystko bez was“. Wówczas wyjaśniłem mu całą sprawę. Miał on żywe poczucie honoru. „To tak się z naszymi obchodzą? Teraz ja w tem, że się wymknijemy strażnikom“. Jak stary kłusownik prowadził nas nie spodem doliny Jaworowej, lecz zбочem gór, wykorzystując starannie każdą turniczkę jako zasłonę i wyprowadził nas cało na szczyt. Na bilecie napisaliśmy, że Kegel i leśniczy F. lepiejby zrobili, gdyby strzegli Szerokiej i nie dozwolali płoszyć kozic, a nie znęcali się nad bezbronnymi turystami w gospodzie. Udało się także ostrożnie zejść do Roztoki. Po polowaniu dowiedziałem się od przewodników niemieckich, używanych do nagonki, że na Szerokiej znaleziono bilet, po którego przeczytaniu Kegel i leśniczy kleli, a prync trzymał się za boki ze śmiechu. To była cała nasza satysfakcja.

W połowie sierpnia, wytłumaczyłem Ks. Okulickiemu, że musi wrócić do domu, chociaż przepadał za turniami. Powodem była okoliczność, że stracił w górach apetyt i schódł jak szczypa. Tymczasem wspinaczki wymagają znacznego nakładu sił, więc trzeba także pożywiać się odpowiednio. Trudno przytem zachować zwykłe pory jedzenia, bo teren niezawsze na to pozwala, ale trzeba jeść wtenczas, gdy dają, chociażby się jeść nie chciało. Dla podniecenia apetytu dobrze jest na wstępie wypić nieco herbaty, lemonjady lub innego płynu.

Spór o M. Oko zaognił stosunki graniczne. Szczególnie most na Białej Wodzie przy Łysej Polanie był miejscem wielu zatargów. Bywało, że gajowi Zamojskiego nie przepuszczali nikogo ze strony węgierskiej, a żandarmi węgierscy i strzelcy Hohenlohego nie przepuszczali Polaków. Dla turystów było to istną sekaturą. W zatargach najczęściej odznaczył się stary Działoń, gajowy na Łysej Polanie i Kegel, Prusak, dyrektor zarządu dóbr Hohenlohego w Jaworzynie Spińskiej. Zdarzyło się, że Kegel postrzelił jelenia, a ten,

silnie brocząc, przeszedł przez rzekę na stronę polską. Kegel rozglądnał się bacznie i nie widząc nikogo — przebrnął rzekę wślad za jeleniem. Dziadoń, ukryty za drzewem, śledził to wszystko. Gy Kegel znalazł się na polskim brzegu, Dziadoń dopadł do niego i wyrwał mu strzelbę, odrzucając ją na bok. Potem chwycił Kęglę silnie za kark, wytaplał go w rzece i kopnął kolanem, pozwalając mu wrócić na swoją stronę.

Naodwrót Kegel czatował na Dziadonia. Raz Dziadoń poszedł na jarmark do Lewoczy. Żandarmi poznali go, uwięzili, zakuli w kajdany i prowadzili do Jaworzyny, aby go oddać Kęglowi. Było to proste nadużycie władzy, ale wówczas sędziowie na Węgrzech byli wybieralni, więc magnat, dysponujący znaczną ilością głosów, miał do dyspozycji sędziego i żandarmów. Dziadoń dał się prowadzić spokojnie, aż wieczorem weszli w lasy jaworzyńskie, które Dziadoń znał na wylot. Tu Dziadoń udał, że ma pilną potrzebę. Żandarmi zeszli z nim w las i zaczęli go rozbierać. Wówczas Dziadoń kajdanami swojemi grzmotnął w łeb jednego i drugiego, a sam zacząć skakać w głąb lasu. Natrafiwszy na głęboki wykrot po drzewie wywróconem, zsunął się doń i przykrył się gałęziami. Za chwilę nadbiegli żandarmi i bagnętami kluli gałęzie w wykrocie, ale poszli dalej. Późną nocą dopiero Dziadoń przebrnął rzekę i doszedł do swojego domu. Sam mi o tem opowiadał, bo nieraz go odwiedzałem, by słuchać jego gry na gęślikach.

Około r. 1900 zakwaterowałem się, pierwszy z gości, we wsi Bukowinie obok Tatr. Centralne położenie Bukowiny w stosunku do Tatr skracało o połowę czas wycieczek na wysokie szczyty, więc wracałem tam corok, zwłaszcza odkąd hr. Zamoyski wybudował mi willę Primulę w nader dogodnych warunkach ¹⁾. Tu powstał pomysł

uprzystępnienia grani Tatr Polskich.

¹⁾ Był wówczas w Bukowinie kościółek, zbudowany zabiegami jednego z gazdów, Jędrzeja Kramarza. Świeżo zbudowano szkołę, ale nie było plebanji i nie było księdza. Ludność musiała

Przedstawiłem sprawę na Walnem Zebraniu Tow. Tatrzańskiego, ale uznano projekt za niewykonalny i zbyt kosztowny. Pracę i żelaza potrzebne obliczono na 16.000 Koron austr. „Dajcie 2.000 w ciągu trzech lat, a podejmuję się perć wykonać, bo nie oddam jej w przedsiębiorstwo, jak wy robicie, jeno sam będę kierował robotą“. Nie zdołałem jednak pozyskać Zarządu T. T. dla tej myśli. Zacząłem przeto prace na własną rękę, najpierw od polany pod Wołoszynem przez cały Wołoszyn do Krzyżnego. Jest to szlak długi, a łatwy, gdzie nie trzeba było wkuć ani jednego żelaza. Wystarczyło rozkopać ścieżkę, miejscami wykuć chwyt w skale, a gdzieindziej ułożyć stopnie i dać farbę. Wziąłem ze sobą trzech górali z Bukowiny i prowjantu obficie na trzy dni. Kilku profesorów odwiozło nas do Wodogrzmotów Mickiewicza i tam prof. Nowicki, piewca sonetów tatrzańskich, obdarzył mię buteleczką tokaju, pamiętającego czasy powstania r. 1863. Miałem też namiot obszerny. Do pomocy donająłem juhasów z polany pod Wołoszynem.

Niestety nie wszyscy górale okazali się wytrzymałymi. Z pierwszego noclegu uciekł mi jeden pracownik, z drugiego drugi, ale z trzecim, Józefem Bucem, dotarłem na trzeci dzień do Krzyżnego. Pozostało nam sporo prowjantu i namiot. Rzeczy, które nie ulegały zepsuciu, zakopaliśmy w turniach, a resztę zabraliśmy ze sobą. Przypadło mi nieść 40 kg., a Bucowi 50 kg. Schodziliśmy doliną Waksmundzką. Ciężko było, więc Buc poradził, aby pokrzepić się tokajem. Wypiliśmy po kieliszku. Zdało się, że ogień rozszedł się nam po żyłach, więc skwapliwie ruszyliśmy dalej.

chodząc do kościoła do Białki, milę drogi. Temu właśnie chciał hr. Zamojski zaradzić przez wybudowanie willi.

Po kilkunastu latach odstąpiłem Primulę „Zytkom“, bo podwyższono mi podatki w takim stopniu, iż zabierano cały dochód brutto. Dopłata coroczna na remont domu, asekurację i stróża wystarczała na sezonowe wynajęcie domu w innej miejscowości.



Po jakich 10 minutach marszu, opadliśmy z sił zupełnie. „Nie pamiętam, abym kiedy tak nagle stracił wszystkie siły“, rzekł Buc. „Dajcie-no jeszcze tokaju“. — „Nigdy w świecie“, mówię. „Właśnie tokaj winien wszystkiemu, bo jest silny. Rozpalcie ogień, a ugotujemy sobie herbaty“. Jestem pewny, że wrazie ponownego pokrzepienia się tokajem, zginęlibyśmy na udar serca, podobnie jak w kilkanaście lat potem wskutek używania koniaku zgasło trzech turystów polskich pod przełęczą Lodową. Herbata, nasycona obficie cytryną, postawiła nas na nogi i nocą doszliśmy do Bukowiny. Później zniosło się i resztę rzeczy.

Przerzuciłem się potem w Buczynowe Turnie. Nocleg sześciu górali i trzech turystów odbył się na tak wąskim upłazku, wiszącym nad przepaścią, że potem nie chciano mi wierzyć, gdy wskazywałem to miejsce. Wyciągnąłem wówczas płótno namiotowe, jako granicę od przepaści, a po dwóch z nas czuwało, by się ktoś nie zesunął. Była to prześlizczna noc księżycowa. Jeden z górali miał flet i wygrywał na nim melodie góralskie, a turnie podawały jedna drugiej oddźwięki pieśni.

Nazajutrz wyzyskaliśmy szlak kozic i doszliśmy na Orlą Basztę. Chciałem iść dalej ku Granatom, ale zimny i mroczny żleb, oddzielający od nich Orlą Basztę, wiał taką grozą, a kamienie usuwały się z pod nóg tak często, iż

górale stawili opór i oświadczyli, że dalej stanowczo nie pójdą.

Zeszliśmy tedy do doliny Buczynowej i do Pięciu Stawów polskich. Doszedłem wówczas do przeświadczenia, że trzeba się przerwucić do Pięciu Stawów, lub na halę Gąsienicową i stamtąd wybierać się na robotę. Z wiedeńskiego **Alpen - Club - Verein** sprowadziłem potrzebne liny ćruciane, a haki, klamry, poręcze i drabiny żelazne zamówiłem w Tarnowie. Niestety T. T. nie pozwoliło mi nawet na skład rzeczy w swoim schronisku i musia-

łem płacić od tego właścicielowi domku przy Czarnym Stawie²⁾).

W nowym sezonie właściciel warsztatu ślusarskiego w Tarnowie zapewnił mi, że ma ludzi wolnych od zawrotu głowy i może ich posłać do osadzenia żelaz w skałę. Zgodziłem się na to. Niestety okazało się, że czeladnik ów i pomocnik nie byli nigdy w górach. A szło o partję wyjątkowo trudną, bo o pokonanie wschodniej ściany dolnej przełęczy Koziej, którą zbadałem poprzednio z Klimkiem Bachledą i Jakóblem Wawrytką. Przybrałem z hali dwóch juhasów i wynieśliśmy popołudniu część żelaz i ołowiu na ową przełęcz. Wskazałem, gdzie i co ma być wkute i zapowiedziałem, że będziemy wracali inną drogą, ale muszą uważać i iść gęsiego. „A skoro tu niema innej drogi“, rzekł czeladnik. „Zobaczycie“, odparłem i przyprowadziłem ich nad żleb zaśnieżony, zbiegający do stóp Czubów Kozich. Czeladnik wbiegł na ów śnieg i chciał po nim jechać w dół. Chwyciłem go za kołnierz, przyciągnąłem do siebie i ostrzegłem, że mógłby się zabić. Ale czeladnik okrążył nas po piardze i poniżej wszedł znowu na śnieg i usiadł na nim. Pobieglem ku niemu i wyciągnąłem czekan, aby się go chwycił. Ten jednak odrzucił czekan i pojechał w dół. „Biorę was wszystkich na świadków, że zrobiłem, com mógł, aby temu wariactwu przeszkodzić“ zawołałem, a jadącemu kazałem się położyć i siekać śnieg obcasami. Tym razem posłuchał, ale zjeżdżał w tempie coraz szybszem. Niebawem żleb zbacza w lewo. Tu uderzyło nim o skałę. Czapka mu spadła, a jego samego obróciło w bok tak, iż leżał w poprzek śniegu i zniknął nam poza zakrętem. „W dole niema tu przepaści, jeno piarga gruba, granitowa“, powiedziałem do swoich. „Gdy uderzy głową o takie kamienie, to głowa pęknie jak garnek“. Zmartwiony, czekam, co nastąpi. Po chwili słychać łoskot. „Jak tam?“ wołam. Milczenie.

²⁾ Domku tego, równie jak tratwy, niema już oddawna. Warto zanotować, że równocześnie T. T. pochwaliło się w roczniku alpejskim, że buduje perć granią Tatr polskich.

Mrowie mię przeszło. „Hop-hop“ wołam znowu. Wówczas z poza skały wychyla się czeladnik i mówi z przechwałką: „Alem za dwie minuty zjechał“. Odetchnąłem z ulgą i powiedziałem: „Prawdę mówi przysłowie, że **warjatami i pijanymi P. Bóg się opiekuje**“.

„Zejdziemy ku niemu“. Ani górale jednak, ani pomocnik ślusarski, niechcieli pójść ze mną i wrócili drogą zwyczajną, już poznaną. Był jednak ze mną jeden z profesorów. Z nim zeszliśmy najpierw do odparzeliska, w którym podjąłem czapkę czeladnika, a potem do winnego. Okazało się, że pod koniec znów go sprostowało, więc jedynie zdarł sobie nieco skóry powyżej obuwia. „Czemu pan nie posłuchał?“ — „Myślałem, że to będzie taka jazda, jak z góry św. Marcina w Tarnowie“, odpowiedział. Zeszliśmy do schroniska. Naza jutrz rychło świt obaj ślusarze, nie mówiąc, pospieszyli na stację kolejową i wrócili do Tarnowa. Żelaza wkuwał wspomniany Wawrytko¹⁾.

Wnet potem podwiozłem sporo materiału do wodogrzmotów Mickiewicza. Udało się tam znaleźć wolnego przewodnika i z nim razem niesiśmy rzeczy do Pięciu Stawów. Stamtąd miało się je wziąć na Kozie Wierchy. Wśród drogi przewodnik zapytuje mię o różne okolice w zachodnich Tatrach i wymienia nazwy juhaskie, nie książkowe. Wreszcie przychodzi do przekonania, że jest to formalny egzamin. „Cóż wy mnie

¹⁾ Wawrytko miał wiele doświadczenia w takich robotach, a przecież na Orlej Perci nie uniknął wypadku. Zwykle kamieniarz wykuwa w miejscach oznaczonych kilka dziur szerszych w głębi, niż przy brzegu. Potem roztopia ołów, wkłada żelazo i zalewa je ołowiem. Potrzeba jednak przed wlaniem ołowiu oczyścić otwór starannie z wilgoci. Zaniedbał tego Wawrytko na Małym Kozim Wierchu. Wilgoć zamieniła się nagle w parę, a para wywołała eksplozję. Klamrę i ołów wyrzuciło gdzieś w dal, a Wawrytko ocalał przez to jedynie, że stał z boku. Praca jego była zresztą dokładną. Tu i ówdzie kamienie spadające potrafiły grubą klamrę zwinąć i położyć na skale, jakgdyby to był drut cienki, ale żadnej klamry nie zdołały wyrwać. W Alpach mają już mieszaninę, która chemicznie łączy się z granitem. Używa się jej na zimno, co jest nader wygodnem.

tak egzaminujecie?“ pytam. „A bo sie przyznajcie“. — „Do czego?“ — „Do tego, co górale mówią o was“. — „A co mówią?“ — „Żeście

znaleźli Janosikowe skarby,

ale wam przytem powiedziało, żebyście za to robili perci w górach, bo inaczej to wam łeb urwie“. Oczywiście wyśmiałem górala, alem czuł, że go nie przekonałem. Pomyślałem sobie, że każdy według siebie sądzi. Górale nie robią nic dla gór bezinteresownie, więc nie mogą uwierzyć, żeby ktoś postępował inaczej.

Innym razem, już o zmroku, niosłem w pojedynkę sporo żelaz z Kuźnic na Halę Gąsienicową. Na Skupniowym Uplazie dopadł mnie halny wicher. Z biedą posuwałem się w przerwach między jego podmuchami. Lękając się odsłoniętego stoku nad Jaworzynką, miałem już zawrócić, ale zobaczyłem, że z lasu wychyliło się kilka postaci na Skupniów Uplaz. „Skoro oni idą to i ty przejdiesz“ powiedziałem sobie i doszedłem na halę. Za jakiś czas przybył gość, z góralem i z koniem na rzeczy. Opowiadali, że po wyjściu z lasu halniak przewrócił im konia. Już mieli wracać, ale zobaczyli, że ktoś sam jeden idzie przed nimi — i to dodało im otuchy. Tak, nie wiedząc o sobie, zachęciliśmy się wzajemnie. Podobnie w przejściach nad przepaścią wystarczy zasłonić kogoś laską lub ręką od przepaści, a turysta nabywa poczucia bezpieczeństwa.

Wreszcie Tow. Tatrzańskie oswoiło się z potrzebą Orlej Perci i na dwa zawody przyznało mi subwencję, która pokryła trzecią część kosztów. Natomiast odstąpiłem im na końcu bezpłatnie sporo zbywającego mi materiału. Udzielono mi nawet godności członka dożywotniego i honorowego. Z czasem założyłem osobne oddziały T. T.: w Tarnowie i w Bochni. Przez jakiś czas byłem nawet członkiem Zarządu Głównego, ale zrezygnowałem, bo Zarząd w Pieninach i w Beskidzie Wyspowym kasował ścieżki, porobione przeze mnie, a inne kazał przemałowywać na inną barwę.

Wśród robót zdarzały się różne epizody. Raz np. prowadziłem gromadkę turystów od dolnej przełęczy Koziej na Czuby Kozie i na Kozi Wierch. Żelaza nie były jeszcze wkute. Ostrzegałem, by w kominkach tworzyć szereg ścisły, i nie puszczać wdół kamieni. Gdyby się kamień usunął, to turysta, względnie jego następcą, powinien go przytrzymać i odłożyć na bok. Zbliżywszy się do szczytu, powiedziałem, że kominiek przed nami jest ostatnim, a potem zaraz szczyt. „Ja muszę być pierwszym na szczycie“, zawołał jeden z profesorów i wyminawszy mię, wbiegł w komin. „Proszę się zatrzymać na grzędzie w połowie komina“, zawołałem i pewny posłuchu wsunąłem się także w komin. Ale nowicjusz uległ gorączce górskiej i nie zatrzymawszy się, podążył na szczyt. Byłem właśnie w kominie, a mój następcą wchodził w komin, gdy ujrzałem spory głaz spadający kominem z góry. „Co-fnąć się w bok!“ krzyknąłem na następcę, a sam nakryłem głowę plecakiem dobrze naładowanym. Rze-czy takie dzieją się prędzej, niż można opowiedzieć. Kamień ugodził w plecak i oszołomił mię trochę, a potem zakreślił łuk ku przepaści. Potracił go mój poprzednik, który stał w górze, błąd z przerażenia. „Przecież ja nie chciałem go strącić“, zawołał. „Po co się pan wyrывał naprzód?“ krzyknąłem i zwymyślałem go, co wiało. Bogu dzięki skończyło się na stłuczeniu i zmiążdżeniu kilku rzeczy w plecaku.

Bukowina okazała się przewyborną także pod względem zdrowotnym. Jeden z moich kolegów świec-kich ¹⁾ miał żonę obłożnie chorą na suchoty. Sam rów-nież zaraził się od niej i musiał wziąć urlop roczny. Zaproponowałem mu, aby z rodziną pojechał na 9 miesięcy do Bukowiny i tam przeprowadził kurację gruntowną. Mieszkanie nie będzie go nic kosztowało, a utrzymanie wypadnie taniej niż w Tarnowie. Zgo-dził się. Lekarz ich, którego rady zasięgałem, oświad-czył: „Jeżeli im to nie pomoże, to i nie zaszkodzi“.

1) Był to Łazarski Bolesław, matematyk.

I co się okazało? Sam dłuższy pobyt w Bukowinie, bez jakichkolwiek lekarstw, wyleczył ich zupełnie. Profesor ów, zarazem zdolny fotograf, był potem długo moim miłym towarzyszem w wyprawach tatrzańskich. Stwierdzam fakt goły, nie wdając się w ocenę medyczną²⁾.

Wycieczki zimowe w Tatry zacząłem w lutym owego roku, kiedy zginął Karłowicz. Z Kubą Wawrytką wyszedłem żlebem Kulczyńskiego na Kozi Wierch, a z niego przez Świstówkę do M. Oka. Ponieważ dzień był krótki, wybrałem czas pełni księżyca i stwierdziłem, że marsz przy poświacie księżycowej jest w zimie dogodniejszy niż w lecie. Piarga bowiem, maliniaki i kosówka znikają pod grubym płaszczem śniegu. W żlebie Kulczyńskiego kilka łańcuchów było pod lodem, więc obaj z Wawrytką oparliśmy się plecami o siebie, a wyciągniętymi nogami o brzegi żlebu i na komendę trybem kominiarskim wzięliśmy przeskok. Przy trawersowaniu w stronę szczytu zabezpieczyliśmy się przed lawiną sposobem alpejskim, tj. jeden stawał przy skale, lub wbijał silnie czekan i okręcał o niego koniec liny, a drugi szedł obwiązany liną przez jakie 28 m. Potem on się utwierdzał w śniegu, a drugi dochodził do niego itd. Lawina nie bywa na takiej wysokości szerszą nad 10 do 15 m., więc nie mogła obydwóch naraz ogarnąć; obeszło się jednak bez lawiny. Oczywiście nie szło się ścieżką, zresztą niewidoczną, lecz stosowało się do konfiguracji terenu, by nie podciąć lawiny. Wichry wyświechtały powierzchnię śniegu tak, iż trzeba było iść na rakach stalowych. Szliśmy środkiem przez stawy: Wielki, Mały i Przedni, a potem, omijając strome zbocze wyszliśmy na szczyt Świstówki i stamtąd zjechałiśmy w kotlinę. Nie szliśmy też ku Rybiemu zboczem Opalonego, lecz zachodniem ramieniem żlebu wprost

²⁾ Jeszcze skuteczniejszym jest Kościelisko, bo leży wyżej o 100 m., a od północy zasłonięte jest wałem gubałowskim. Ma też sporo lasu.

do gościńca. Wycieczka trwała od 6-tej rano do 9-tej wieczór. Były pozatem krótsze wycieczki.

W następnym roku we trzech wybraliśmy się z M. Oka na Rysy ostatniego grudnia. Na nartach przebyliśmy M. Oko i Czarny Staw, a potem z mozołem zdobywaliśmy głębokie śniegi u stóp Rysów. Co chwilę przewodnik musiał się zmieniać, bo ustawał ze zmęczenia. Wreszcie dotarliśmy do „grzędę“, założyliśmy raki i olodowaciałą grzędą posuwaliśmy się w górę. Słońce grzało silnie, a na przeciwległych turniach Rysów, pokrytych lodem, skryształizowanym w różne wzory, wywoływało przecudną grę kolorów. Dopiero o 3¹/₂ popołudniu stanęliśmy na szczycie. Mróz wynosił tu 30°, a przy M. Oku zaledwie 8°. Po zdjęciach fotograficznych o 4-tej ruszyliśmy w drogę powrotną.

Restaurację dzierżawiły wówczas PP. Górskie i przez cały dzień śledziły nasze sylwetki ciemne na śniegu. Spodziewały się nas około północy, a my już na 6-tą byliśmy w restauracji. Od konika bowiem puściliśmy się wdół żlebem, w którym śnieg pozostaje i w lecie. Spuściłem każdego towarzysza na linie, a sam z biedą zesunąłem się do nich. Utworzywszy gąsiora, zaczęliśmy zjeżdżać wdół. Natychmiast jednak zatrzymaliśmy się, widząc, że śnieg obrywa się przy obu brzegach żlebu, wąskiego w tem miejscu, więc mogłaby powstać lawina. Huk, wywołany owym śniegiem, słyszano w restauracji. Przez jakiś czas szliśmy wdół krokiem szerokim, a gdy żleb się rozszerzył i stał się mniej stromy, zjeżdżaliśmy nim wybornie i szybko. Na ogół wyprawy zimowe trudzą więcej niż letnie.

Raz była charakterystyczną sprawą z Dziadoniem. Odprowadzali mnie ku Tatrom jeden z profesorów i sympatyczny akademik-prawnik. Po drodze zboczyliśmy na wyrębisko, by uraczyć się wybornymi poziomkami i malinami. Ostrzegłem jednak towarzyszków, by bezemnie nie zbierali tam jagód, bo Dziadoń wie, że ja mam pozwolenie od leśniczego, ale z nimi mogłoby być źle. Było to w niedzielę, popołudniu. W sobotę wróciłem z gór i zasiedliśmy do wieczery wraz

z owym profesorem. Wchodzi akademik wspomniany i mówi: „Panie profesorze! Cóż będzie z naszymi zegarkami? Czy mamy je darować za kilka jagód?” Wówczas ku niemałej konfuzji profesora prawda wyszła na jaw. Wracając, wstąpili na zbiór malin, a Dziadoń zjawił się niespodziewanie i zafantował im zegarki. Dałem im bilet do leśniczego na Zazadniej i niebawem odzyskali swą zgubę.

Przez służbistość swoją naraził się Dziadoń wielu góralom. Chcieli się na nim zemścić, więc raz na jarmarku w Nowym Targu zaprosili Dziadonia i jego synów na poczęsne. W gospodzie całą masą rzucili się na zaproszonych. Ale Dziadonie ujęli za krzesła i w czterech wyparli z izby cały tuzin napastników. Oczywiście nie obeszło się bez guzów.

Dwa razy w Tatrach śmierć zajrzała mi w oczy. Raz, było to w r. 1904. Świat katolicki obchodził wówczas 500 rocznicę ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia NMP. Redagowałem „**Dwutygodnik Katechetyczny**“ i rzuciłem w nim myśl, by ze składek księży sprawić figurę Niepokalanie Poczętej i umieścić ją w Tatrach. Składki dopisały, więc postarałem się o figurę z pińczowskiego kamienia, kolorowaną olejnie. Rozchodziło się o to, gdzie ją umieścić. Musiało to być miejsce pod przewieszką, aby kamienie spadające i lawiny nie uszkodziły figury. Musiało być także przy szlaku uczęszczanym. Wybrałem się na poszukiwania z Klimkiem Bachledą i znaleźliśmy miejsce odpowiednie w okolicy proggu w Zawracie. Trzeba je było wymierzyć dokładnie, więc wydostaliśmy się na pulkę skalną, wiodącą w owo miejsce i kłęcząco, a potem leżąc, posuwaliśmy się naprzód. Niestety pulka była zawalona rumowiskiem. Klimek pelzł naprzód i zrzucił rumowisko do żlebu zawrackiego. Natrafiwszy na większy kamień, obszedł go ostrożnie. Naraz krzyknął:

„Ratujcie się; leci na was“.

Istotnie kamień, słabo podparty, zaczął się zsuwać ku mnie. Klimek usiłował go zatrzymać, ale nie dał rady.

Co tu robić? Nie można było zeskoczyć do żlebu, bośmy już byli za wysoko, zresztą kamień mógł się potoczyć za mną. Na prawo miałem turnię gładką, silnie przewieszoną. Kamień zsuwał się wprost ku mojej głowie i groził jej zmiążdżeniem. „Matko Boska ratuj!“ zawołałem w duszy i oparłszy lewą rękę o róg kamienia, pchnąłem co sił od siebie. I stało się, czegom się nie spodziewałem. Pchnięcie owo zdołało wyprowadzić kamień z jego dotychczasowego kierunku, a mnie wcisnęło głębiej w szczelinę skalną. W rezultacie głaz otarł się o moje lewe ramię i runął do żlebu. Klimek stał poblady i zawołał: „Jużem myślał, że po was. Bogu dzięki, że przeszło szczęśliwie“. Teraz dopiero zauważyłem, że wskutek owego pchnięcia, przeciąłem sobie aż do kości dłoń w nasadzie czterech palców. W połowie czerwca przy pomocy drabin żelaznych umieściłem tam figurę.

W Primuli urządziłem na poddaszach sześć pryczy z siennikami dla studentów i przez kilkanaście lat corok brałem ze sobą młodzież z Tarnowa w Tatry. Były to z reguły trzy partje, każda z sześciu studentów, po trzy tygodnie. Musieli jedynie sobie opłacić zniżkowy bilet kolejowy i zabrać ze sobą coś prowiantu. Słabszych zostawiałem w Primuli, a silniejszych brałem na wycieczki. Przez czerwiec zbierali się w szkole na pogadanki, informujące o Tatrach i każdy miał wyrysowaną mapę Tatr. Żądałem od nich dwóch rzeczy: posłuszeństwa, zwłaszcza w miejscach mniej bezpiecznych i otwartego przyznania się, jeżeli miejsce jakieś wyda się komu trudnem do przebycia. Poza tem nie skąpiłem przestróg, ale zostawiałem swobodę wyboru, aby doświadczenie własne przekonało ich, że nie nadarmo ostrzegałem. Mimo to w dwóch pierwszych latach zdarzyły się wypadki niesubordynacji. Winnych sprowadziłem wówczas do stacji kolejowej w Szmeksie, zakupiłem bilety i wyprawiłem do Tarnowa. Przepraszam spóźnionych nie uwzględniałem, lecz dodawałem: „Jeżeli chcesz skrócić kark w górach, to idź sam w Tatry, a nie ze mną, bo ja za ciebie

jestem odpowiedzialny. Gdybyś sobie wynajął przewodnika, to jego będziesz musiał słuchać. Inaczej zekpa cię i porzuci". W następnych latach nie potrzebowałem już uciekać się do tego środka, bo stugębna fama była dostateczną dla młodzieży przestrożą. Karność umożliwiała nam przechodzenie nawet trudnych partyj, jak drogą Kynasta na szczyt Garłucha, schodzenie z Łomnicy przez Miedzianą Ławkę i przez Niemiecką Drabinę itp. Żaden student nie doznał wypadku, ani nawet stłuczenia³⁾.

Z reguły wychodziliśmy w niedzielę popołudniu z namiotami i z workami naładowanymi na cały tydzień. Nie nocowaliśmy w schroniskach, lecz pod namiotami. Wartujący zmieniał się co godzinę. Miał on za zadanie: utrzymywać ogień, aby każdy, komu będzie zimno w namiocie, mógł się w mileczeniu ogrzać przy ogniu. Wartujący od 2-giej do 3-ciej rano miał zaparzyć herbatę i przygotować śniadanie. O trzeciej budził wszystkich, a dopomagał mu w tem mróz poranny, który spać nie dawał. Z gustem piło się herbatę gorącą i o pół do czwartej, a najpóźniej o czwartej wyruszało się w drogę. Szło się rażno, bo chłód popędzał. O 7-mej lub 8-mej rano byliśmy na szczycie.

Po całonocnym odpoczynku i zimnej przekąsce schodziło się zwykle inną drogą, w stronę szczytu, który się miało zwiedzić w dniu następnym. Około dziesiątej rozkładało się obóz między kosówką, lub w lesie, wybierając miejsce zacienione, w pobliżu wody. Tam gotowało się obiad pożywny, złożony z mięsa świeżego lub z konserw, z rosółu, zasypanego ryżem lub makaronem i z leguminy. Urozmaicenie polegało na tem, że w jednym dniu ryż był w rosole,

³⁾ Z profesorów chodzili zemną najczęściej: Antoni Panek i Franciszek Nowicki. Czasem była spora gromada gości. Zauważyłem, że wycieczki górskie leczyły profesorów wybornie z pedantyzmu, hartowały ich, wyrabiały w nich siłę i zręczność, a przedewszystkiem odświeżały umysłowo. Podobne usługi oddaje pobyt w Tatrach wszystkim pracownikom umysłowym, prowadzącym siedzący tryb życia.

a w drugim gotowało się go w mleku na gęsto jako leguminę, a posypywało się cukrem i cynamonem. Na przemian czyniło się to samo z makaronem. Z początku wycieczki mieliśmy czasem coś ziemniaków. Niekiedy smażyło się rydze, o ile się je znalazło po drodze. Po obmyciu naczyń odmawiałem brewjarz, a studenci spali do 4-tej popołudniu. Sen w powietrzu halnem dziwnie pokrzepia. Gdy upał minał, maszerowaliśmy jeszcze około trzy godziny do miejsca, upatrzonego na nocleg, gdzieś w pobliżu nowego celu wycieczki. Przy tym rozkładzie dnia nikt nie mógł być przemęczony, owszem każdy czuł się krzepko. Taki sposób chodzenia i odpoczywania stał się mojem stałym nawykniem. Wycieczki kosztowały niewiele¹⁾ bo zakupywa-
liśmy prowiant w Bukowinie, gdzie był tani.

W każdej partji studenckiej zaprowadzałem podział pracy i specjalizację w ten sposób, że każdy musiał być czynny. Jedni rozpinali i zwijali namiot, drudzy zbierali gałęzie i utrzymywali ogień, inni byli zajęci gotowaniem, myciem naczyń itd. Zamiast besztać opieszałego, śpiewaliśmy mu odpowiednią zwrotkę pieśni, na ten cel ułożonej, co dziwnie skutkowało. Melodję wzięliśmy ze znanej pieśni czeskiej. Oto tekst:

Jam ci powiedział (bis): nie wybiegaj naprzód,
Jam ci powiedział: nie wyprzedzaj!
Czyż tak gardzisz nami, twoimi druhami?
Jam ci powiedział: nie wyprzedzaj!

¹⁾ U juhasów kupowaliśmy zętycę. Jeżeli nasz biwak był niedaleko od szalasu, częstowaliśmy juhasów tem, co nam pozostało od obiadu. Były to dla nich specjały. Przeważnie juhasi okazywali się honorowymi i nawzajem obdarzali nas sporym kawałem buncu, t. j. świeżego serca owczego, niesolonego, pożywnego i smacznego, a łatwo strawnego. Gdy krowa lub owca spadła z turni i zabiła się, można było za bezcen nabyć mięsa świeżego. Chleb był najpraktyczniejszy ciemny z mąki żytniej, bo długo trzymał się w stanie świeżym.

Nawiasowo godzi się ostrzec przed zętycą kwaśną i zimną, bo działa jak olejek rycynowy. Świeża i codopiero ugotowana reguluje żołądek i nerwy. Pożywną jest wtenczas, gdy zawiera sporo grudek twarogu owczego. Jest to serwatka owcza, podobna w smaku do krowiego mleka zwarzonego.

Jam ci powiedział: nie pozostaj w tyle,
Jam ci powiedział: nie zostaj, nie!
Wszystkich nęka trwoga, boś osoba droga.
Jam ci powiedział: nie zostaj, nie!

Jam ci powiedział: nie zbaczaj na boki,
Jam ci powiedział: nie zbaczaj, nie!
Tam z boku na waści czyhają przepaści.
Jam ci powiedział: nie zbaczaj, nie!

Jam ci powiedział: wybieraj się rażno,
Jam ci powiedział: nie guzdraj się!
W Tatrach czas jest wszystkim,
Więc nie bądźże chłystkiem.
Jam ci powiedział: nie guzdraj się!

Figlów i psot studenckich, nieszkodliwych, było przytem bez liku, więc szło się wesoło i człowiek czuł się przy młokosach odmłodzony.

Jeżeli ktoś mimo ostrzeżenia pił zawiele wody, przepowiadałem mu, że jeszcze dzisiaj ustanie i będziemy mieli kłopot z jego plecakiem. Przepowiednia ta sprawdzała się z reguły.

Ze względów praktycznych radziłem ciupagę nieść często w lewej ręce, by się do tego przyzwyczaili. Mając prawicę wolną, mogli łatwo radzić sobie w turniach. Dobra jest też pętla na zawieszenie laski. — Radziłem po jakiej godzinie marszu nacisk ciała przekładać na drugą nogę — i tak czynić co godzinę. Czyniło to uczniów wytrwalszymi w marszu.

Gdy ścieżka była w zakosy, niektórzy mieli pasję przecinać zakosy. Przypominałem, że to nie ma sensu, bo i tak muszą na nas poczekać, a psują ścieżkę, zwłaszcza po deszczu i zrywają nogi. Wyraźnie zaznaczyło się to przy schodzeniu z Bujaczego Wierchu w Tatrach spiskich. Oczywiście młody nie chce się przyznać do zmęczenia za nic w świecie, ale widziałem, że chodzenie po drabinach w Białskich Grotach przychodziło im z trudnością. Gdy potem wspomniałem, że mamy jeszcze dwie godziny marszu do miejsca przeznaczonego na nocleg, radzi nieradzi prosili, aby nocować gdzieś w pobliżu. Musiałem to uwzględnić i zmienić

plan cały, ale odtąd już owa partja nie przecinała zakosów. Często posłużyło za lekcję opowiadanie o niefortunnych, a niepotrzebnych przygodach ich poprzedników, przyczem nigdy nie wymieniałem nazwisk.

Na noclegach podkładało się pod siebie kosodrzewinę, ale nakrywało się ją batystem Moseyiga, dziwnie lekkim, by żywicą nie powalać ubrania i nie wchłonąć w siebie wilgoci. Podczas deszczu wśród marszu studenci okrywali się płachtami namiotowemi, co wyglądało pociesznie, ale chroniło przed przemoczeniem człowieka i plecaka. Każdy niósł ze sobą drugie obuwie i czystą bieliznę, więc na noclegu było się w co przebrać, by nie siedzieć w mokrem. Miejsce noclegu uporzędkowaliśmy zawsze starannie, układając napowrót murawę w razie okopania się, tak iż niełatwo zdołał ktoś poznać nasze noclegowisko. Odpadki kuchenne i papiery zakopywało się w ziemi. Szczególną uwagę zwracałem na staranne wygaszenie ogniska. Powierzałem to rozsądniejszemu chłopcu, a przed odejściem sam jeszcze sprawdzałem stan rzeczy. Raz zauważyłem, że coś jest nie w porządku. „Czyś starannie wygasił ogień?“ zapytałem. „Tak jest“, odpowiedział. „Coś ci pokażę. Co tu widzisz?“ I wskazałem na lekkie dymki, wznoszące się z ziemi w promieniu metrowym od ognia. „Odrzuć mech w tem miejscu!“ Stwierdziłszy, że pod wilgotną warstwę mchu ogień trawił warstwę szpilek świerkowych i przy odsłonięciu wybuchnął płomieniem. Gdybyśmy tak odeszli, nastąpiłby pożar lasu, trudny do ugaszenia, bo tam mało wody. Rozgrabiliśmy wszystko starannie i zalali wodą.

Idących w Tatry trzeba było uczyć obchodzenia się z liną, a zwłaszcza uważania, by lina nie wlokła się po kamieniach i by jej nie przystępowano. Schodząc wdół po śniegu, wyciągałem linę w niejednym miejscu,

1) Nieostrożność tego rodzaju spowodowała np. pożar lasu w Pieninach na Górze Zamkowej i przyległych wzgórzach. Las palił się przez dwa tygodnie, bo nie było go czem gasić. Wreszcie przytłumiono ogień lawinami kamieni, ale zniszczono bujną roślinność.

gdzie jej nie używałem, idąc w górę. Studenci pytali o rację. „Bo łatwiej o wypadek przy schodzeniu wdół, aniżeli przy wychodzeniu. Schodząc, stąpamy tylko obcasem, który łatwo może się poślizgnąć, idąc zaś w górę, stąpamy całą podszwą“. Nieraz rzeczywiście jeden lub dwóch uwiozło się na stromym śniegu, ale byli uwiązani na linie, więc dało się ich powstrzymać. Tam, gdzie śnieg nie był zbyt stromy i nie kończył się przepaścią, zjeżdżaliśmy nieraz siedząco, tworząc tak zw. gąsiora, bo jako pierwszy w rzędzie mogłem łatwo odpowiadać za cały ogon. W Tatrach spiskich, na południowych stokach Krywania i w Tatrach zachodnich przejeżdżaliśmy czasem sporą przestrzeń trawnika, siadając na dłuższej gałęzi kosodrzewiny, przyczem grubszy jej koniec trzymałem w ręku jako kierownik.

Raz mieliśmy przekroczyć stromą dolinę między dwoma stokami gór, zawałoną śniegiem. Pod śniegiem słychać było pluszczenie potoku. Związałem wszystkich liną i zbliżywszy się ku potokowi, skrzyłem nagle w górę, aż nadszedłem nad miejsce, gdzie pluskania nie było słychać. Tam dopiero przeszliśmy na drugą stronę potoku. Ostatni w szeregu usiłował skrócić sobie drogę i ruszył wprost przez potok. Niebawem zniknął pod śniegiem i tylko lina go uratowała. Wyjaśniłem wówczas, że woda, płynąc, podmywa śnieg od spodu. W górze pozostaje cienka ława śnieżna, która ciężaru człowieka utrzymać nie zdoła. Dlatego przechodzi się potok tam, gdzie go nie słychać, bo tam teren tworzy widocznie małą równinę i warstwa śniegu bywa grubsza. Niektórzy zaginęli w Tatrach tak, że ich nigdy nie odnaleziono. Zapewne wpadli oni w stromem miejscu pod wieczny śnieg i zniknęli na zawsze, bo szli samotni.

Raz przyłączyło się do nas na Polskim Grzebieniu dwóch Czechów młodych. Zeszliśmy na polaną pod Wysoką i raczyliśmy się tam świeżem mlekiem. Nie zauważyliśmy, że jeden z Czechów, niejaki Nowak, odszedł z szałas. Nie przypuszczaliśmy nic

złego, więc towarzysz jego został, aby nań poczekać, a my poszliśmy dalej. Okazało się później, że owego Nowaka już oczy ludzkie nie ujrzały. Kto wie, czy nie poszedł do Dolinki Czeskiej i czy nie tkwi gdzieś pod olbrzymimi śniegami, spadającymi od Wysokiej do Zmarzłego Stawu? Ostrzegałem też studentów przed oddalaniem się od gromady. W razie potrzeby naturalnej musiał dotyczący powiedzieć, że chce zboczyć, a myśmy wszyscy czekali na niego.

Przy wspinaczkach najgorsze są przewieszki i tak zw. kamienie „parszywe“, tj. ruszające się przy dotknięciu. Nieraz zaklinowany jest nimi „komin“, tj. wąska a stroma rynna, a jednak wyrzucić ich nie wolno, bo zabrakłoby chwytu na ręce i stopnia na nogi. Wówczas przodownik ostrzega o takim parszywcu, a każdy turysta, naciska ów kamień ku skale, a nie pociąga go ku sobie. Do przewyciężenia przewieszek trzeba człowieka zręcznego i silnego w rękach. Wyszedszy na przewieszkę, puszcza on linę wdół i wyciąga następnych. Niejeden już zwiedził szczyt trudny w roli plecaka. Ciągnąc kogoś wgórze, trzeba samemu znaleźć silne oparcie, a linę spuszczać po gładkim kamieniu, albo po czekaniu, aby paraliżowały ewentualne szarpnięcia się windowanego. Podpora musi być gładka, lub zneutralizowana wałkiem papieru czy chusteczką, by nie przetarła liny.

Tatry na ogół nie są karkołomne, ale nie można ich także bagatelizować, bo to w niejednym wypadku pomściło się srogo. Nieobeznani z techniką wysokogórską nie powinni puszczać się sami w głąb Tatr, lecz mieć przewodnika, albo doświadczonego taternika. Po kilku sezonach każdy sobie przyswoi ową technikę i da sobie wszędzie radę. Idąc w gromadce, trzeba koniecznie stosować się do najsłabszych i spieszyć im z pomocą. Jeżeli to niewygodne, można na przyszłość oglądać się za innym towarzystwem, ale raz się zgrupowawszy, nie powinno się rozdzielać w drodze. W razie wypadku można jednego silniej-

szego posłać po pomoc, a reszta mają czuwać przy słabym i sygnałami wzywać ratunku.

Niebezpieczna może być dla turysty mgła górską („gma“ u górali). Bywa ona czasem tak gęsta, że idąc gęsiego, widzi się tylko poprzednika, a idącego przed poprzednikiem wcale się nie widzi. Nie chcąc zabłądzić, trzeba znać charakterystyczne szczegóły partyj górskich i mieć dobry kompas; w przeciwnym razie trzeba czekać na miejscu godzinami lub dniami i wołać o pomoc. Z Czerwonych Wierchów zamiast do Zakopanego zeszli nieraz turyści przy mgle na południową stronę Tatr!

Raz w południe przez Spiglasową przełęcz doszedłem ze studentami do schroniska przy Pięciu Stawach. Popołudniu miał być wypoczynek i reparacja ubrań, co studenci powitali z radością. Zajęliśmy łóżka w schronisku i zabraliśmy się do roboty. Wtem nadbiega akademik i prosi o pomoc dla towarzyszkii swojej, która z dolnej przełęczy Koziej spadła po śniegu do Pustej Doliny. Doradziłem mu, aby poszedł do Morskiego Oka i stamtąd zawezwał Pogotowie Ratunkowe, a my będziemy się starali znieść ranną do schroniska. Okazało się, że w schronisku nie było wówczas noszów, ani żadnych środków opatrunkowych. Na szczęście nosiłem zawsze apteczkę podręczną, a nosze można było zrobić z lasek alpejskich i z lin turystycznych. Sygnały głosowe okazały się skutecznymi i niebawem na miejscu wypadku zebrała się gromadka osób, a między nimi pewien medyk. Akademickę zastaliśmy nieprzytomną. Zanim natorpiło się wody ze śniegu, aby rozpuścić w niej pastylkę sublimatową, zanim medyk zaopatrzył ranną, upłynęło sporo czasu. Nader powolnym był również jej transport, bo olbrzymie maliniaki utrudniały pochód. Wreszcie znaleźliśmy się w schronisku. Lekarz zajął się ranną, a my ujrzeliśmy nasze plecaki na stole, a łóżka zajęli nowi przybysze. Studenci zirytowali się niemało, ale przedstawiłem im, że na pomoc gospodarza niema co liczyć, bo goście go nie respektują. Poszliśmy tedy w stronę szałas, rozbiliśmy namiot

i studenci doczekali się pełnej konewki zentycy świeżej, gęsto okraszonej twarogiem. Wyraziłem nadzieję, że później, chodząc po Tatrach, zachowywać będą etykę taternicką lepiej niż ówczesni goście w schronisku.

Raz z winy studenta znaleźliśmy się w niebezpieczeństwie poważnem. Było to na Szatanie. Wyszliśmy nań z doliny Młynicznej, zostawiając na dole plecaki i laski. Tylko prof. Łazarski i ja zatrzymaliśmy czekany. Przy schodzeniu prowadziłem zboczem żlebu zaśnieżonego, dosyć stromego. Studentom zachciało się jechać po śniegu. „Tu zbyt stromo“ odpowiedziałem. Gdy poniżej kąta nachylenia się zmniejszył, prosili znowu o jazdę śniegiem. Spróbowałem czekaniem i widzę, że śnieg jest zlodowaciały. Mimoto dałem się zasugerować głosom studentów i towarzysza, ale ostrzegłem, że musimy ruszyć jak najwolniej z miejsca, a potem hamować stale czekanami. Wyrąbałem stopień, abym mógł w nim usiąść, a za mną sposobem bobsleigowym ulokowała się reszta partji. Zanim jednak dałem znak, ktoś popchnął — i ruszyliśmy odrazu w tempie przyspieszonym. Ot! lekkoomyślność studencka. Czekany strychały tylko po lodzie i wbię się nie dały, a my jedziemy w tempie coraz szybszem, wreszcie warjaackiem. Żleb skręca i staje się mniej stromy, ale rozpęd się powiększa. Naprzeciw nas na wysokość chłopa sterczy w żlebie skała, a my pędzimy wprost na nią. Miałem wyborny czekan szwajcarski z jesionowem styliskiem. Nastawiłem go wprost na ową skałę i poleciłem się Bogu. Uderzyliśmy tak silnie, że czekan strzaskał się jak źdźbło kručze; zostało z niego tylko żelazo, które trzymałem w ręce. Całej partji dostało się silne kopnięcie w tył, które rozrzuciło studentów, a mnie przerzuciło przez skałę. Odlamkiem czekana zdołałem czepić się śniegu, pozbierałem studentów i wylądowaliśmy cało na brzegu żlebu. „Który z was popchnął?“ pytam. Winny przyznał się. „Czemuś nie posłuchał? Mogliśmy tu wszyscy zginąć“. Odtąd słuchali już nawet w drobiazgach.

Plecaki okazały się wybornymi regulatorami dla młodzieży. Wychodząc z domu w pełni sił, urządzałoby młodzi istną gonitwę, ale plecak wagi około 20 kg. zmuszał ich do pochodu rozważnego. Gdy po kilku dniach odczuwać zaczęli znużenie, plecak stawał się lżejszym, więc jedno drugiem wyrównywało się wzajemnie. Zwykle zresztą każdy dzień trzeci był wypoczynkowy, przeznaczony na krótką i łatwą wycieczkę. Jeżeli jeden lub dwóch uczniów okazywali się zbyt słabymi, to przez jeden dzień pozostawiałem ich na biwaku, by odpoczęli gruntownie i nabrali sił nowych. Zwykle trzeba im było powierzyć naprawę namiotów lub coś podobnego, bo ambicja nie pozwalała żadnemu uznać się znużonym.

Aby uniknąć częstego powtarzania tych samych partyj, prowadziłem w Tatry co rok z innej strony, przyczem zwiedzało się dolinę Popradu, Pieniny, Czorsztyń, Podoliniec, Kesmark, Babią Górę, Orawskie Zamki, Rużomberk a nawet Koszyce. Pieszko przechodziliśmy różne partje Beskidu Wyspowego i Gorców. Raz przez Mogielnicę, Krzysztoniów, Jasień, Kudłóż i Mostownicę dotarliśmy na szczyt Turbacza i urządziliśmy tam popas dłuższy. Zbierając drzewo na „watwę“, wpadł jeden ze studentów do dołu, głębokiego na 4 metry, ale mieliśmy liny i wyciągnęliśmy go łatwo. Okazało się, że dołów podobnych było tam więcej; wykopali je

niefortunni poszukiwacze skarbów zbójnickich.

Zeszedłszy do Kowańca przy Nowym Targu, poprosiliśmy o kwaśne mleko. Usłużna gaździna wyniosła konewkę, pełną mleka wybornego. Pierwszy raz w życiu widziała czekany, więc chciała się dowiedzieć, do czego one służą. „Pomyślcie sami — rzekłem — na co mogłyby się przydać“. — A może tem wykopujecie skarby zbójnickie? Czyście już co znaleźli?“ — „Ten oto wpadł na Turbaczu do dołu zbójnickiego“, rzekłem, wskazując na odnośnego studenta. „Choćbyście co znaleźli, to się nie przyznacie“, zauważyła i rozpo-

częła dłuższą pogawędkę. Zadowolona z rozmowy, nie przyjęła ani grosza za mleko, które studenci wypili do ostatniej kropli. Było to jeszcze w czasie przedwojennym.

Czasem brałem na wycieczkę 20 do 30 studentów, tworzących zawsze dwu lub trzy-głosowy chór śpiewacki. Zwiedziliśmy różne wioski i miasteczka na Spiszu, gdzie ludność do północy przysłuchiwała się naszym pieśniom patriotycznym. Często szło za nami dwóch żandarmów węgierskich, ale nie mogli się nas czepiać, bo nie było przemówień agitacyjnych. A jednak polskie pieśni budziły ducha i podniecały tęsknotę za Polską!

Jeszcze więcej pociągała orkiestra dęta, za którą ludność przepadała. Studenci grali tak poprawnie, że dr. Chramiec w Zakopanem, zwabiony ich marszłem, zaprosił ich na kilkudniowe występy w swoim sanatorium. Pamiętam, że raz w noc księżycową urządziliśmy koncert na grani Tatr spiskich. Niestety wielu koncertantów zginęło później podczas zawieruchy wojennej.

Zabawny epizod zdarzył się nam za czasów sporu z Czechami o Jaworzynę Spiską. Na Łysej Polanie zarówno Czesi, jak Polacy, strzegli pilnie mostu granicznego nad Białą wodą. Wiedząc o tem, zaopatrzyłem się w pozwolenie starostwa i konsulatu czeskiego w Krakowie. Wracając z Morskiego Oka, chcieliśmy na Łysej Polanie przejść na stronę czeską. Niestety kapral posterunku polskiego oświadczył, że nie wolno nam przejść granicy, bo niema pieczęci wójta w Zakopanem. Perswazje moje o kompetencji władz nie trafiły mu do przekonania.

Tymczasem studenci (30) otoczyli ciasno straż i szepeczą mi, że potrafią żołnierzy rozbroić. Wielu z nich służyło w wojsku, więc mogli łatwo obietnicę swoją wykonać. Odpowiedziałem, że nie wolno Polakom ubliżyć honorowi armji polskiej, a poleciłem wywiedzieć się o nazwisko owego kaprała i o jego komendę. Dowiedziawszy się o tem, zapowiedziałem ka-

pralowi, że odniosę się w tej sprawie do jego komendy w Jurgowie. Zawróciliśmy w stronę Morskiego Oka, ale za zakrętem drogi zбочyliśmy przez las nad Białą wodę. Tam studenci z odłamków drzew, splawionych wodą, zbudowali kładkę tymczasową. Przeszedłszy na czeską stronę, wróciliśmy ku mostowi i w oczach żołnierzy naszych, osłupiałych, wylegitymowaliśmy się przed patrolem czeskim. Postarałem się o to, by zaważać o Jurgów i przedłożyłem sprawę oficerowi. Było to w czerwcu, a chciałem, by nie było skandalów niepotrzebnych z nawałem wycieczkowców w lipcu i w sierpniu. Oficer wytłómaczył rzecz okolicznością, że nasyłają mu żołnierzy Białorusinów, całkiem nieinteligentnych. Ów kapral miał być jeszcze najsprytniejszy z pośród nich. Niebawem sprawdziłem na Łysej Polanie, że lekcja nie poszła w las.

Goście bukowińscy zapytali mnie raz, czy ich dzieci z 4-tej i 5-tej klasy ludowej mogłyby wyjść na szczyty bez przemęczenia. Odpowiedziałem, że da się to zrobić pod warunkiem, że pójdą z dziećmi tylko dorośli, a nie wyrostki i podlotki. Musimy bowiem stosować się do dzieci. Jakoż pięciodniowa wycieczka udała się świetnie. Dzieci były na szczycie Koziego Wierchu od 5-ciu Stawów i na Rysach ze strony czeskiej, a wróciwszy do domu chciały nazajutrz pójść na nową wycieczkę. Ale też co godzinę mniej więcej urządzaliśmy grzybobranie, albo zbiór jagód, kwiatków, kamieni z mchem rdzawym o woni fjołkowej itd. a nie brakło także dłuższych popasów. Tempo marszu było również odpowiednie do sił dzieci.

Znalazłoby się jeszcze sporo przeżyć tatrzańskich własnych, a cóż dopiero opowiedzianych przez drugich, ale sądzę, że epizody przedstawione wystarczą do poinformowania ogółu, jak należy postępować w Tatrach. Prowadziłem także roboty górskie w Pieninach, ale nieobfite przeżycia pienińskie nie mają nic wspólnego z Tatrami. Radbym, aby wskutek informacji mniej było w Tatrach nieszczęśliwych wypadków.





52t

8-408


INTRODUTOR
ARTUR KOŚMIDER
BOCHNIA, UL. BERNARDYŃSKA 4

